PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 13 *Warszawa, 28 marca 1914.* Widok 3.

WI—SKI.

Oświata ludu a klasy uprzywilejowane.

Najpoważniejszą dźwignią ludu, najpoważniejszym warunkiem jego rozwoju jest oświata. Stosunek do niej świadczy najwymowniej o stopniu demokratyzacji społeczeństwa. Przypatrzmy się przeto, jaki jest stosunek do oświaty ludowej naszych klas uprzywilejowanych.

Jedynym krajem, gdzie szkolnictwo polskie może się rozwijać, jest Galicja. I otóż tam, jak świadczą dane, zebrane przez prof. Michała Janika, szkolnictwo ludowe stoi bardzo nizko, mnóstwo gmin dotąd szkół nie posiada, a analfabetyzm zmniejsza się w postępie żółwim. Według p. Wład. Grabskiego, [1]) którego o stronność demagogiczną i uczucia antyszlacheckie — posądzić chyba trudno, gmin w Galicji bez nauki szkolnej w końcu 1909—1910 r. było 463. Tenże stwierdza, że w Galicji dziś na 10,000 ludności przypada 6, 8 szkół, wówczas gdy w ludowych zupełnie Czechach *w 1850 r., a więc z górą pół wieku* temu przypadało szkół — 8, 2, na Morawach — 8, 8, na Ślązku — 8, 9. Oto jak wyglądają w druzgoczącym oświetleniu cyfr wpływy i rządy, chlubiącej się kulturą wieków i czującej lekceważenie do chłopskich Czechów — szlachetczyzny.

[1]) «O nauczaniu powszechnem i zakładaniu szkół ludowych».

Poza tym, te szkoły, które istnieją, są prowadzone fatalnie. Są one «de facto» po większej części jednoklasowe, o systemie reakcyjnym, archaicznym. Na utrzymanie ich i wyposażenie nauczycieli sejm i rząd krajowy pieniędzy skąpią, nic więc dziwnego, że ludzie zdolniejsi z pośród nauczycieli rzucają swój zawód i szukają chleba na innych polach, pozostają zaś tylko — albo biedacy bez inicjatywy i zdolności, lub też nieliczni ideowcy, na których władza patrzy zukosa i często karze dyscyplinarnie za każdy krok śmielszy.

Excelencje: Bobrzyńscy i Dembowscy — w myśl brutalnie szczerych wskazań Wojciecha Dieduszyckiego, nie tylko nie starają się o szybszy rozwój oświaty ludu, lecz radeby go nawet, w miarę możności, zahamować: — «byle polska wieś spokojna».

«Narodowi» zaś posłowie ubiegali się i ubiegają w Wiedniu o koncesje zyskowne dla siebie i swoich, we Lwowie zaś o utrzymanie w posłuchu i zależności zarówno chamów polskich, jak ukraińskich, ale wpłynąć na rząd, by nie dopuszczał do czechizacji i niemczenia Polaków na Ślązku Cieszyńskim — nie kwapili się i nie kwapią, boć to nie sprawa swoja, narodowa. Tu wszak chodzi tylko o chłopa, robotnika polskiego, wówczas gdy tam, na Wschodzie, o latyfundja «naszych» Czartoryskich i Lubomirskich.

To też na Ślązku o oświatę narodową walczy głównie chłop i robotnik polski — przy pomocy szczupłego odłamu inteligencji miejscowej i galicyjskiej. «Międzynarodowi»

Daszyńscy, Moraczewscy, Biniszkiewicze — to główni szermierze polskości Ślązka.

Cieszyńska Macież Szkolna przeżywa z roku na rok ciężkie okresy niedomagań materjalnych. W roku 1912 — według «Humanisty» — sami tylko drobni rolnicy i górnicy polscy na Ślązku złożyli ze swej krwawicy, odjętej niemal od ust, 101,000 koron. Galicja dała 117,000 kor.

W Królestwie jest jeszcze gorzej. Tu — dzięki okropnym warunkom zewnętrznym — rozwój demokratyzacji, tej — nie na hasłach, nie na papierze, ale na czynie opartej, jest jeszcze mniejszy. Tu ofiarność publiczna na oświatę ludową — poza krótkim okresem działalności «Macierzy» — jest bardzo mała. Wszelkie stypendja oświatowe, zapisy — do czasów ostatnich są prawie wyłącznie kastowe. Ograniczają się do szkół średnich i wyższych, zastrzegły pochodzenie, ba, nawet często — herb stypendysty. Oświata ludu traktowana była, jako rzecz wtórna, jako jałmużna.

Nawet wówczas, gdy wśród możnych zjawiała się jednostka niepospolita i ofiarna, która pojmowała, że przyszłość narodu tkwi w ludzie światłym i zamożnym i chciała dlań coś zrobić, wola jej przez wykonawców była paczona i każona.

I nie warunki zewnętrzne, nie władze państwowe, lecz samo społeczeństwo, w osobie swych «urodzonych» przedstawicieli — lud krzywdziło.

Jaskrawym przykładem tego rodzaju zjawiska jest w Królestwie Szkoła Sobieszyńska. Szkoła tu powstała w t. 1896 z zapisu hr. Kickiego, który dobra Sobieszyńskie testamentem z d. 21 czerwca 1878 roku zapisał na cele publiczne.

W testamencie tym hr. Kicki warował wyraźnie, «że dążnością mego zapisu jest, żeby wzorem i dobrym przykładem, jak Chrystus nas nauczał, oddziaływać na prostaczków i maluczkich, aby w nich uszlachetniać pojęcia». Prosił też bardzo, aby ci, «którzy do urzeczywistnienia mych zamiarów użyci będą, — przejęli się moją myślą i, działając w duchu mych dążeń, przyczyniali się do urzeczywistnienia mych zamiarów. *Gdyż za największe uważałbym nieszczęście, jeśliby egzekutorowie mej woli nie postawili się dość energicznie, aby projekty moje, w najszczytniejszych celach obmyślane, miały być zwichnięte przez jakiebądź względy...*»

Takie były intencje i obawy szlachetnego zapisodawcy, który żył jeszcze za czasów pańszczyźnianych. A szkoła Sobieszyńska winna była i mogła wychować, dzięki posiadanym środkom, cały szereg dzielnych i światłych obywateli z pośród ludu. Mogła była w każdym innym społeczeństwie zachodnim, lecz nie w naszym. U nas po dzień dzisiejszy nie o obywateli z pośród ludu chodzi, lecz o parobkow. A wymownym stwierdzeniem tego było sprawozdanie szkoły za rok 1902—3 które głosi: «Celem szkoły jest rozpowszechnianie wśród ludu zasadniczych wiadomości o gospodarstwie rolnym, *a tym samym przysposobienie zdolnych ekonomów, karbowych, służących wiejskich i t. p.*»

Oto jak pojmują, jeżeli nie zawsze tak wyraźnie mówią i piszą — zadania oświaty ludowej w wieku XX-ym w Polsce nasze warstwy uprzywilejowane.

Zapis, owiany i przeniknięty duchem najlepszych i najczystszych intencji obywatelskich, został zabrany na wyłączną własność i użytek obszarników — szlachty.

Wszak to — krzywda, grabież społeczna. W społeczeństwie demokratycznym nie mogłaby ona przejść bezkarnie. Lecz u nas z głosem protestu chłopów *Zarania* nikt się nie liczy. To nie naród. U nas nawet szkoły ludowe takie, jak Kruszynek, Gołotczyzna, Sokołówek, Bratne — są traktowane naogół, jeżeli nie wrogo, to niechętnie, bo zostały założone pomimo szlachty i kleru, a opieki tych «urodzonych» przewodników narodu nie uznały i nie uznają.

U nas zadania oświaty ludowej sprowadzają się do tego, by przez umiejętność czytania i pisania wpoić cześć dla plebanji i dworu na wsi, a kapitalisty — w mieście.

I tym tylko można objaśnić nagankę prasy klerykalno-szlacheckiej na Kruszynek, szkołę gospodarstwa kobiecego dla dziewcząt wiejskich, która postawiła sobie za zadanie wychowywać nie fertyczne pokojówki i gosposie dworskie, lecz kobiety — Polki, przyszłe żony i matki naszych włościan.

ORJON.

Echa Prawdy.

I. Dwie pretensje. II. Ks. Stanisław Gruza. III. Poszukiwanie ojczyzny?

I. W książce o «Upadku myśli konserwatywnej w Polsce» w książce, na którą złożyły się przeważnie artykuły drukowane uprzednio w *Gazecie Warszawskiej*, wytacza autor, Roman Dmowski, dwie pod adresem konserwatystów pretensje: *primo*, że są nikczemnicy; *secundo*, że nie chcą bratniej duszy odczuć w narodowej demokracji.

Istotnie, na str. 100 czytamy: «Bardzo łatwą było narzucić taką niedorzeczną, z polskiego stanowiska *nikczemną* doktrynę ludziom, którzy mieli oczy zwrócone tylko na rząd»... (Mowa o doktrynie p. Piltza, który po dzień dzisiejszy jest «radcą tajnym» konserwatystów.)

Na str. 120 czytamy: «(Narodowej demokracji) potrzebny był sojusznik szczery, lojalny... Takim sojusznikiem mogło być tylko stronnictwo polityki realnej». (To jest: ci sami «nikczemni» konserwatyści z p. Piltzem na czele).

II. Duchowieństwo katolickie, nawykłe do ogłupiania, krzywdzenia i wyzyskiwania ludu w kraju, przenosi swe «dziesięcioro» przykazań (p. N-r poprzedni *Prawdy*) na grunt osiedli polskich w Ameryce. W miejscowości South Bend Indiana ks. Stanisław Gruza, przemocą przez władzę kościelną narzucony parafji, stał się przyczyną krwawej śród ludu zamieszki: jak donosi «Goniec Bostoński», proboszcz ów w parafji swej pałkami policyjnymi wykłada zasadę «kochaj bliźniego». W asystencji szeryfa objąwszy władzę nad parafją, na środkach policyjnych oprzeć musiał zarząd «owieczkami». Gdy w Berlinie dominikanie-niemcy wołają policji, aby dzieci polskie siłą wyrzucała z kościoła, jednocześnie proboszcz polski w St. Zjednoczonych do sił policji się ucieka, by wiernych w karbach należytego szacunku utrzymać. Tło i osoby odmienne; środki i metody te same.

III. Poszukiwaniem ojczyzny nazwał p. Ludwik Abramowicz w *Przeglądzie Wileńskim* myśl, zawartą we W s k a z a n i a c h p. C. Jankowskiego. Czy słusznie? Czy słusznie, zarazem, wiąże p. Abramowicz myśl tę z zasadniczą dążnością doby obecnej, doby, w której «patrjotyzm poczęto identyfikować z umiejętnością korzystnej lokaty kapitałów?» Endecja, która najściślej śród żywiołów wszystkich identyfikację taką przeprowadza, przeciw W s k a z a n i o m p. Jankowskiego zmobilizowała swe najczerwieńsze gromy. Czyżby więc była macierzą, która własne dzieci pożera? Pakowanie siłą do obozu endeckiego p. Jankowskiego jest czynem buńczucznym, lecz cokolwiek... bezceremonjalnym. Ale bo też myśl W s k a z a ń niema nic wspólnego z «poszukiwaniem» ojczyzny: celem ich jest zwrócenie uwagi na potrzebę planowości w rozmieszczeniu żywiołu polskiego na ziemiach b. Rzpltej; planowości, udostępniającej nam bardziej celowe prowadzenie polityki polskiej wobec wielkich, czekających nas w przyszłości zadań. Są posterunki, które należy trzymać oburącz. Ale są i takie, za które raczej krew do kropli przelać należy, niż je opuścić. Że hierarchja taka w ustosonkowaniu wartości różnych posterunków polskich istnieje i nie jest fikcją bynajmniej, to stwierdza czynem sam oponent p. Jankowskiego — p. Abramowicz, który porzuca owocną swą działalność na terenie Litwy, aby owocniejszą, jak sądzi, rozpocząć na terenie Królestwa pracę.

Czy ten czyn jego także uważać należy tylko za korzystniejszą lokatę kapitału... umysłowego?

J. KADEN.

Kronika krakowska.

CYGANERJA.

W głowach się to nam nie mogło pomieścić... Bo... —

Czasem odwiedzaliśmy ją, a czasem nie. Bo każdy ma swoje zajęcia.

Więc kiedyśmy znów przyszli i śmierć zastali... Bo tyfus głodowy, lub suchoty każdy ma, czy mieć może...

Lecz kiedyśmy przyszli i śmierć zastali...

Czekała na nią w coraz słabszej i tkliwszej grze fortepianu, co stał na środku pustego pokoju, jak trumna.

Śmierć nie jest łatwa. Tylu wymaga formalności. Różne władze muszą ją stwierdzić i przestemplować. Trudna to sprawa, gdy mało pieniędzy.

Z początku nie chciano nam wierzyć, żeśmy przyszli i śmierć tylko zastali.

A dobro, a dobytek, a scheda? komu to oddać i jak? I co?

Zeszyty kompozycji? Te białe kartki, pięciolinją kratowane, na których nuty, jak czarne łzy, tułają się takim drobnym tłumem? Czy ciemne obrazki, do których zbrakło farby? Czy głodną, wyschłą rzeźbę?

Zbiegły się długi i rachunki do łoża śmierci. Odpowiadaliśmy jeden za drugim, mówiąc pysznie i wspaniale o — rodzinie... O tej zamożnej dalekiej rodzinie, która, jak tylko... Rozumie kupcowa? Jak tylko... Ale na razie, ten straszny cios... Na razie trzeba trochę taktu...

Jak się to stało, że za tak małe pieniądze uznała władza tę śmierć i, że karawan przyjechał z żywym człowiekiem na koźle i konie uzdę stylowo gryzące?...

Chyba to wszystko nieboszczka sama kiedyś zastawiła, a teraz zastaw wykupiono pieniędzmi za szkice, za autografy...

Bylibyśmy dumni, że się nam udało tak wysoko stać w hierarchji społecznej. Czarne afisze o śmierci kompozytorki za nasze wydane pieniądze, były jak gdyby rękojmią naszej potęgi organizacyjnej.

Urządziliśmy koleżance wielki ostatni—czarny koncert.

Szpaler z tłumu od karawanu do bramy nie udał się. Stały tylko dwie kobiety w chustkach i stróż z miotłą. I znów, i jeszcze sklepiczarka.

Jak tylko rodzina się dowie... Jak tylko... Tak straszny cios... Na razie niech się pani jednak zdobędzie na takt... Nieprawdaż?... Trzeba taktu...

Śnieg padał, konie szły cierpliwie, a my we czterech! Myśmy we czterech za trumną, dumnie, sztukę narodu odgrywali... Prawie bez palt, z sinemi od zimna rękami. Zaś trumna bylejaka, niby na wojnie... Tanio i prędko.

Przeszliśmy całe miasto, i het na pole, i aż tam, ku cmentarnej, rozfalowanej, w pośmiertnem czułem westchnieniu zastygłej ziemi.

Wieczne odpoczywanie.

Ale się kocha to życie! I cóż z tego, że serce umarło śpiewające, skoro nazajutrz rano, woda z pod kranu we dzbanie szumi... Szumi, pryska i lśni, że myjesz się jakbyś się w łasce najczystszej płukał — bo woda polska.

Skry.

Gdy w kraj wchodzisz, gdzie czczony jest posąg Barana,
Klęknij przed nim i — podaj mu pobożnie siana.

***

— Nasze Towarzystwo Psychologiczne, — skarżył się Pesymista, — składa się przeważnie z bawidamków.

— Lecz nie należy nad tym ubolewać, — odparł Optymista: — raczej cieszyć się trzeba, że u nas bawidamkowie biorą się do psychologji.

J. TARCZEWSKI.

Polska na przełomie.

(Z powodu monografji prof. B. Dembińskiego).

Dla wszechstronnego wyświetlenia dramatu ginącej Polski należy przyglądać mu się nietylko od strony rozkładu wewnętrznego lecz i z punktu widzenia gry dyplomatycznej: widzieć w nim nietylko proces konania lecz i fakt zagłady.

W dziele prof. Dembińskiego ogniskiem knowań przeciwpolskich jest Berlin; głównym, nieomal wyłącznym tematem jego są stosunki polsko-pruskie w dobie Sejmu Czteroletniego. Wiemy, że stronnictwo patrjotyczne, chcąc wyzwolić kraj z zależności od Rosji, oparło swą politykę zewnętrzną na przymierzu z Prusami. Autor dowodzi na podstawie korespondencji i dokumentów tajnego pruskiego archiwum, że rachuby na pomoc pruską były złudne, zaufanie w życzliwość dworu pruskiego — naiwne, gdyż jedynym motywem działania Fryderyka Wilhelma II-go i jego ministrów była w tym wypadku chęć wystraszenia Rosji i zmuszenia jej do wznowienia dawnych tradycji prusko-rosyjskiego aliansu kosztem Rzeczypospolitej. Wszystko, co z tej strony czyniono pozornie na korzyść Polski, było nieszczere, podstępne, nawet prowokacyjne. Celem istotnym były zawsze nabytki terytorjalne: Gdańsk i Toruń jako minimum, dwa województwa Wielkopolski, jako pożądane naprzód, potym niezbędne odszkodowanie za zdobycze, spodziewane przez Austrję i Rosję na Turcji. Im odporniejszym był dwór rosyjski na berlińskie umizgi, tym dalej hazardowały się Prusy w manifestowaniu swej przychylności dla Polski, każdy jednak cień nadziei wznowienia dawnych stosunków z Petersburgiem, natychmiast hamował te obłudne wynurzenia sympatji.

Nie mogąc narzucić swej medjacji w wojnie wschodniej, ani też w wojnie ze Szwecją, wystraszony projektem polsko-rosyjskiego sojuszu przeciw Turcji, król pruski chcąc ten zgubny dla siebie plan zerwać w samym zawiązku, postanowił wyzyskać zapał stronnictwa patrjotycznego i poparł je w sprawie obalenia gwarancji rosyjskiej, przeciw królowi i stronnikom Rosji. Omylił się jednak w swych rachubach, gdyż opierał je na doświadczeniach, zebranych przez swego poprzednika w czasie pierwszego rozbioru oraz na oszczerczej charakterystyce narodu polskiego, którą mu przekazał „wielki Fryderyk“. Sądził tedy, że zabiegi Rosji, war-

cholstwo jej stronników i służalstwo króla doprowadzą do zerwania sejmu i do kontrkonfederacji, która nastręczy pozór pożądany dla zbrojnej interwencji pruskiej i zaboru upatrzonych zdawna miast i województw.

Jednakże w ówczesnym pokoleniu polskim zbudził się już był potężny instynkt narodowej samoobrony, i on to kierował postępowaniem Wielkiego Sejmu. Za wszelką cenę uniknąć wewnętrznych zawichrzeń, umocnić rząd, zasilić skarb, wystawić silne wojsko — oto były górujące hasła i przemożne dążenia obradujących stanów.

Nie udało się stronnictwo patrjotyczne przeobrazić w narzędzie polityki pruskiej, ani też pchnąć do bezwzględnej walki z królem; kontrkonfederacja zaś powstała dopiero później i otworzyła pole do interwencji zbrojnej tego właśnie mocarstwa, któremu daremnie siliły się Prusy zaimponować swą samodzielną polityką w Polsce.

Jakkolwiek trudna, śliska i zawiła gra dyplomatyczna została oddana w ręce jednostki tak przebiegłej i zręcznej jak Włoch Lucchesini, od początku do końca narażona była na nieustanne porażki; Polska nie posiadała w owym czasie biegłych dyplomatów; przez długi czas zaniedbywano politykę zagraniczną, nie było nawet stałych rezydentów na obcych dworach, choć często widywano tam polską arystokrację w charakterze gości lub też politycznych intrygantów i plotkarzy. Brakło więc i tradycji i ludzi wyszkolonych w sztuce dyplomatycznej, a wszystkie postaci ówczesnych ambasadorów polskich, których sylwetki żywo i barwnie kreśli profesor Dembiński, w otoczeniu szczwanych i wytrawnych graczy cudzoziemskich — rażą i poniekąd śmieszą swą sarmacką dobrodusznością. A jednak trudno się oprzeć wrażeniu, że bądź co bądź, ci ludzie dobrze służyli swemu krajowi, czuwali, ostrzegali, wiernie pilnowali powierzonej sprawy, nie dość zręczni i przebiegli, by drugich w swe plany uwikłać, przez swą sumienność i uczciwość ustrzegli się od wpadnięcia w ich sieci. I oni należeli już do tego zdrowego, nowego pokolenia Polaków, oddanego służbie Rzeczypospolitej bez oglądania się na fawory i łaski obcych potencji. Na czele ich, jako kierownik polityki zagranicznej stał Ignacy Potocki, człowiek nieskazitelny, a jednak narażający nieraz na szwank swą popularność, gdy wbrew najgłębszym skłonnościom swej natury silił się przeciwstawiać patryjotycznemu uniesieniu swych współziomków zimne wyrachowanie racji stanu. Warunkiem wyzwolenia się z pod wpływu Rosji było przymierze pruskie w pierwszym planie, a dalszym przystąpienie do federacji antyrosyjskiej, złożonej z Szwecji, Anglji, Holandji, Prus i Turcji. Ponieważ jednak jedyną pobudką, którąby mogła skłonić Prusy do zainicjowania takiego związku były nabytki terytorjalne w Polsce, w szczególności Gdańsk i Toruń, zdawało się nieuchronną koniecznością poświęcić te dwa miasta dla zachowania niepodległości i całości reszty kraju, a nawet w dalszej perspektywie — odzyskania Galicji.

Nie zdołał jednak na stanach polskich wymódz tego ustępstwa ani rzetelny i odważny Potocki, ani chytry Lucchesini, ani też wreszcie później trzeźwy i szczerze Polsce życzliwy ambasador angielski. Sejm zwołany pod hasłem wyzwolenia ojczyzny z pod obcej opresji, pałający żądzą odwetu za klęskę pierwszego rozbioru, ze wstrętem odrzucał każdą wzmiankę o dobrowolnym podpisywaniu niewoli choćby jednego miasta. Bezpośrednią, niemal odruchową odpowiedzią na wszelkie tego rodzaju podszepty, były zasadnicze, jednomyślne uchwały o całości i nienaruszalności Rzeczypospolitej, o stutysięcznym wojsku i t. p.

Ta prostolinijność patryjotyzmu polskiego skuteczniej, niż wszelkie sztuczki dyplomatyczne paraliżowała zabiegi Lucchesiniego. Chcąc podtrzymać w Polsce sympatje dla zachodniego aljanta, musiał się coraz dalej angażować w fałszywych obietnicach i kłamliwych zobowiązaniach, przemilczając ich utajoną cenę, musiał dochodzić nawet do jawnych protestów przeciw „nieuzasadnionym“ podejrzeniom i zarzutom, kierowanym przeciw rządowi pruskiemu. Tajne propozycje, ponawiane przezeń wciąż pod adresem Rosji, dochodziły do Warszawy w formie plotek; nieuchronne zaprzeczanie tym plotkom kompromitowało dyplomację pruską w Petersburgu i wikłało ją we własne sieci. Lucchesini, początkowo przeznaczany na dwór rosyjski, wkrótce stał się tam niemożliwy, a jego zręczne intrygi snute w Warszawie, nieraz wprawdzie plątały i wichrzyły prace sejmu, lecz w ostatecznym rezultacie nawet ułudne obietnice pruskiej pomocy krzepiły serca i zagrzewały je otuchą, podniecały ufność patryjotów we własne siły i natchnęły odwagą do wielkich przedsięwzięć — ponad wyrachowania i wbrew interesom tego, kto był ich ukrytym suflerem.

Obiecywane lecz niezamierzone przymierze polsko-pruskie musiało zostać w końcu zawarte; mało brakło do zawarcia jeszcze takiegoż przymierza z Anglją i Holandją, a nie z winy lub przyczyny Polaków zostało ono zaniechane. W miarę, jak naród nasz wykazywał coraz więcej żywotności i siły, rosła jego powaga na zewnątrz. Doszło do tego, że współubiegano się już o jego względy a propozycje aljansu

ze strony Austrji i Szwecji zdawały się zapowiadać nową erę w życiu odrodzonej Polski.

W przededniu ogłoszenia konstytucji Majowej polityka pruska doszła do zupełnego bankructwa swych planów: parła do przymierza z Rosją i wojny z Austrją, zmuszona była do przymierza z Polską, pokoju z Austrją a stanęła wobec konieczności wojny z Rosją. Od tej nienawistnej dla niej ostateczności uchronił ją parlament angielski; w Londynie padło słowo rozstrzygające w tym razie o losach Polski i Prus. Wbrew woli Pitta, izba rzecz rozstrzygnęła na korzyść pokoju, projekt antyrosyjskiej federacji został pogrzebany.

W tym wypadku, jak i później w wielu innych momentach naszych dziejów, okazało się, że zdrowy patryjotyczny instynkt narodu lepszym, mędrszym był dla niego doradcą niż wyrafinowane rachuby rozumu politycznego.

Ofiara Gdańska i Torunia, bolesna i upokarzająca, była zarazem bezcelowa. Prusy nie miały nigdy zamiaru nią się zadowolić, nie była więc ona nawet zażegnaniem grożącego niebezpieczeństwa, natomiast narażała na dotkliwy szwank wewnętrzną i zewnętrzną powagę Rzeczypospolitej, dopiero teraz odradzającą się po tylu poniżeniach. Późniejsze fakty okazały zresztą, że wbrew intrygom pruskim gdańszczanie umieli wytrwać w wierności dla Polski nawet w najcięższych chwilach, zawstydzając rdzennie polskie miasta i województwa.

To, co było patryjotycznym odruchem, nie było tedy wcale politycznym błędem. Nie było nim nawet i polsko-pruskie przymierze, choć ze strony pruskiej podszyte podstępem i zasadzką, nie podobna wykazać, aby ono samo przez się przyniosło Polsce szkodę. Przeciwnie, do pewnego stopnia wiązało ręce fałszywemu aljantowi, odsuwało go na jakiś czas od innych potęg zaborczych, podniosło powagę Polski w Europie. Cios morderczy przyszedł z innej strony, był bezpośrednim wynikiem zwycięztw, odniesionych przez Rosję na południu i północy, a byłby przyszedł o kilka lat wcześniej, gdyby te wojny nie były na pewien czas jej sił i uwagi pochłonęły. Możliwą była reforma rządu choćby przy obłudnym poparciu Prus; niemożliwym zaś było nawet przystąpienie do niej pod gwarancją Rosji i w przymierzu z nią. Miały niewątpliwie Prusy względem Polski bardzo złe zamiary, jednakże nie mogły ich urzeczywistnić póty, póki nie znalazły dla nich poparcia i aprobaty w przymierzu wschodnim.

Natomiast, czytając dzieje polityczne owej doby w oświetleniu profesora Dembińskiego odkrywa się z konieczności błąd polityczny w tym, co uchodziło w owym czasie za kwintesencję mądrości stanu, mianowicie w ustanowieniu sukcesji tronu w Polsce. Pamiętni cudzoziemskich intryg i wichrzeń, połączonych z każdorazową elekcją, usiłowali patryjoci raz na zawsze zagrodzić im drogę przez obalenie samego porządku elekcyjnego. Niestety, sprawa ta nie miała w danym momencie praktycznego znaczenia i to nietylko dlatego, że ówczesny król był ostatnim, lecz, że nie mając gotowej dynastji, której możnaby tą uchwałą trwałe panowanie zapewnić, przyspieszano tylko komplikacje elekcyjne, szukając przedwcześnie kandydata na tron jeszcze nie wakujący, a wcale nie ubezpieczony. Elektor saski niechętnie przyjmował ofiarowaną mu koronę, a właściwie był tylko podstawionym kandydatem pruskim, równie zależny od dworu berlińskiego, jak proponowany poprzednio Hohenzollern, a nie narażający go w sposób zbyt ryzykowny względem Rosji. Osadzono tedy na tronie cień przyszłego króla i za tę cenę dawano broń w rękę przeciwnikom konstytucji, i narażano kraj na wewnętrzne zamieszki, których w ciągu lat czterech tak starannie i z tak dobrym skutkiem unikano. Dodatkową ceną tej decyzji było zmrożenie sympatji republiki francuskiej, co w danym momencie jeszcze roli nie grało, lecz parę lat później miało już dla dążeń narodowych polskich wagę rzeczywistą.

Tron dziedziczny, silna władza królewska były to niezaprzeczenie ważne czynniki siły państwowej — o ile je można w praktyce nie w teorji realizować. Złożyć jednak silną władzę w rękę jednostki tak słabej, jak Stanisław August, ustanawiać monarchję dynastyczną bez dynastji, jest zbytnim podleganiem suggestji słów z pominięciem treści, brakiem poczucia rzeczywistości — czyli typowo polskim błędem o znacznie zgubniejszych następstwach, niż przymierze z niepewnym, lecz na razie jedynie możliwym aliantem. Czyliż ten wybór lękliwego władcy dziedzicznego bez dziedzica nie przypomina znacznie późniejszego wyboru dyktatora wbrew woli, naczelnego wodza, który wojny nie chciał?

Podobne reminiscencje nastręczają się nieustannie przy czytaniu książki prof. Dembińskiego, bo jakkolwiek byt państwa polskiego był znikomy, charakter narodowy okazał się dziwnie trwały, a sytuacja stworzona przez rozbiory, dotychczas w zasadniczych rysach niezmieniona, już wtedy zaczynała wywoływać te same komplikacje, których nieskończony szereg nieprzerwanie aż do naszych czasów się ciągnie. Ciekawym a mało znanym epizodem z owych lat jest przygotowywane z poduszczenia Prus powstanie w Galicji, a sylwetka Morskiego, emisarjusza i przedstawiciela pierwszego w dziejach Polski tajnego komitetu powstań-

czego, zasługiwała bezsprzecznie na to, by ją na kartach historji upamiętnić.

I wtedy już także spotykamy tylokrotnie potem powtarzające się zjawisko, że nasi krzywdziciele byli zarazem naszymi oszczercami, podkopując równocześnie byt Polski i jej dobre imię. Nieodrodny uczeń Fryderyka II-go Luchesini w listach swych i raportach wiecznie oskarża Polaków, i to wtedy właśnie, gdy ci swemi cnotami obywatelskimi jego niecne intrygi w niwecz obracali. Opór przeciw odstąpieniu Gdańska i Torunia mieni chciwością i egoizmem, o podejrzliwość i niewdzięczność oskarża ich wtedy, gdy mu się nie dali wprowadzić w zasadzkę, i żali się, że na nich liczyć nie można, kiedy nie pozwalali się popchnąć do zdrady kraju. „Wielki Fryderyk“ stworzył tę szkołę, i on bowiem, rabując Polskę, fałszując jej monetę, grabiąc jej ziemie, gardził nią nie za to, że mu się krzywdzić dozwalała, lecz że do odzyskania swych strat nie przestawała dążyć. Warto sobie uprzytomnić źródło tej krytyki, zanim zaczniemy — jak to się stało naszym miłym zwyczajem — w wylewach żółci naszych wrogów szukać barw do wizerunku naszej przeszłości.

W każdym razie nie do dzieła prof. Dem. odnoszą się te słowa. Książka jego uczy nas nietylko rozumieć, lecz wyrozumieć naszą przeszłość dziejową.

L. KONOPACKI.

Stanowisko wiedzy — w kulturze spółczesnej.

Nawet pobieżny rzut oka na dzieje kultury europejskiej w ciągu paru ostatnich stuleci, nasuwa myśl, że istnieje w tym rozwoju pewna prawidłowość, polegająca na tem, że pewne okresy się powtarzają. Powtarzają się nietylko teorje, ideały, hasła, kanony, ale nawet upodobania, zwyczaje, gusta. W historji literatury fakt ten jest dosyć znany. Po okresach liryki egotycznej, romantyzmu, następuje wiek krytyki, praw rozumowych, po apologjach „rozmachu“ następują uzasadnienia „miary“ i t. d.

Po tych znów nawrotach klasycyzmu i racjonalizmu — uczuciowość się domaga rehabilitacji — i może — jak to w obecnej chwili się dzieje — mamy do czynienia z pewnego rodzaju subjektywizmem zasadniczym, odnowieniem zagadnień, — już dawno — zdawałoby się — przebrzmiałych i wyczerpanych.

W szczególnie znamienny sposób podobne zmiany — poniekąd nawet nieoczekiwanie — zachodzą w dziedzinie kultury, najbardziej i zasadniczo nawet starającej się wyzwolić od wszelkiej nastrojowości i względności indywidualnej — w dziedzinie wiedzy.

Istotnie, o ile sztuka stara się uchwycić i zindywidualizować pewne przeżycie twórcze, pewne wzruszenie — i utrwalić je w sposób jedyny, czarujący swą odrębnością — o tyle znów wiedza — i w metodzie i w celach swych, zasadniczo się stara o uogólnienie, o eliminację wszelkich pierwiastków podmiotowych, wszelkich zabarwień indywidualnych, uznając je poprostu za „zboczenia“ i „błędy“.

Ale — co jest zupełnie zrozumiałe — a przynajmniej do niedawna było zupełnie zrozumiałe dla ludzi, przesiąkłych duchem pozytywizmu i metodą empiryczną, dla uczniów Comte'a i Milla, to znowuż dziś pod naciskiem i konsekwencją pewnych danych „bezpośrednio“ faktów — staje się w pewnej mierze zakwestjonowane.

Stało się to za sprawą filozofji i psychologji.

Psychologja jako odrębna gałąź wiedzy — od dość niedawna zaczęła się rozwijać. Rozwój jej na tem polegał przedewszystkiem, że zaczęto badać życie duchowe jako fakt nie metafizyczny, lecz przyrodniczy, że włączono je do wielkiego łańcucha zjawisk przyrody — ale nie w znaczeniu zależności absolutnej — gdyż było to błędem materjalizmu, tylko w znaczeniu równorzędności, korrelacji — prowadzącej do psychofizycznego parallelizmu, a wreszcie do idealistycznego monizmu, który ostatecznie wszelką cielesność, wszelką bryłowatość roztopił w elementach psychicznych, tak że scholastyczne i kartezjuszowskie stwierdzenie: „dusza znajduje się w ciele“ może być dziś wręcz odwrócone: ciało znajduje się w duszy.

Tu też wielką rolę odegrała i filozofia — szczególnie jako krytyka i synteza naszych zdolności poznawania prawdy. Stare to zagadnienie, datujące się od czasów Berkeley'a głównie — jak poznajemy świat, jaką rolę odgrywają zmysły, idee wrodzone, wreszcie pewne aprioryczne warunki „dane z doświadczeniem ale nie w doświadczeniu“ (Kant) — stare to zagadnienie wśród rozkwitłej bujnie wiedzy przyrodniczej (zwłaszcza biologji i fizjologji) nabrało koloru życia, siły i jędrności — i oto narodził się psychologizm, jako stanowisko naukowe, krytyczne, objektywne więc — a zarazem i podmiotowe fakty uwzględniające tak, jak dotąd tego ścisła wiedza nie robiła. Więc poznanie świata zredukowało się to szeregu zagadnień poszczególnych jak poznanie form przestrzennych, czasu, dźwięków, ruchów, — słowem zamiast żelaznej machiny „objektywnego“ świata z cienką pajęczyną wszelkich podmiotowości — otrzymano różnorodnie utkaną migocząca się wszelkiemi możliwościami — od bryły kamienia do wyobrażenia lotnego — tkaninę wrażeń, czuć, stanów świadomości.

Ale to jeszcze niewystarczyło wciąż dalej kroczącej analizie podmiotowości. Szereg badaczy bystrych, głównie fizyków i psychologów, badając coraz skrupulatniej czyste doświadczenie, coś co przed wszelką myślą, przed wszelką konstrukcją logiczną istnieje i poprzedza ją — doszedł do przeświadczenia, że właściwie mówiąc i monistyczno-idealistyczne stanowisko jest niewystarczające, gdyż pomiędzy świa-

tem, a stanami świadomości jako takimi — istnieje pewien zasadniczy przedział, polegający na nieuchwytności ich dla władzy poznawczej. Znane powszechnie rozbiory prac H. Bergsona dostarczają mnóstwa przykładów istotnie uderzających. Ani ruch, ani czas, ani stawanie się — dostępne dla obserwacji — w formuły rozumowe ująć się nie dadzą. I oto ten „irracjonalizm" szuka pojednania w akcie twórczym, podmiotowy czynnik uzewnętrznia się i staje się faktem konkretnym.

Filozofja poznawania stała się filozofią twórczości.

Uderza nas zbliżenie się do wiedzy życia.

Istotnie mówić o twórczości, jest to nietylko myśleć, lecz i oceniać myśl, oceniać zaś ją w stosunku do jej płodów, wyników. —

To znaczy — realizować myśl tę! Ta myśl jest najlepsza, która jest najbardziej twórcza, ta zaś najbardziej twórcza, która najintensywniej w życiu zatętni dokonanem dziełem.

Z tych to, (a jeszcze i z innych ubocznych przesłanek) wyłaniać się począł od lat kilkunastu szczególny kierunek utylitaryzmu, zwany pragmatyzmem. Urodzony na kontynencie amerykańskim — zawładnął on umysłami współczesnymi, którym sama djalektyka filozoficzna, same rozważania teorjopoznawcze nie dają dość mocnego oparcia, które sprawdzianów szukuć pragną w życiu. Ci też ludzie, odwracają w szczególny sposób człowieka do świata i nie człowiekowi każą być w zgodzie i posłuszeństwie ze światem, (jak chciały np. systemy sensualistyczne) lecz światu w zgodzie, a raczej w zależności od człowieka, który go będzie mógł urabiać zgodnie z wymaganiami swej indywidualności. Nietzscheańska „wola mocy" jasny tu swój wyraz znajduje, bo też Nietzsche był tym płomienistym filozofem, który chciał rzeczy najtrudniejszej: wcielenia systemu w życie.

Cały szereg myślicieli (Meinong, Münsterberg), wprowadza nowy termin do filozofji — wartość.

Już nie analityczne cechy przedmiotu, jako takie, są wszystkiem, nie stany świadomości, etc, lecz związek uczucia z przedmiotem, kierunek, wytwór duchowy, ideał, — są faktami o wyraźnych zarysach i odrębnych wymaganiach. Wartość zbliża filozofję do etyki i estetyki, — a przez nie i wogole do sztuki. Co dziwniejsza, zaczyna się mówić o wartościach religijnych. Ze stanowiska pragmatyzmu i humanizmu (ostatni kierunek polega na mierzeniu wszelkiej wartości miarą człowieka w całej pełni) nabierają znaczenia fakty religijnego życia. Życie bohaterskie, poświęcenie, prawość, spokój ducha — są dla wielu filozofów (James) wymownymi sprawdzianami pragmatycznej wartości religji.

Otóż tak się w krótkich słowach zarysowuje stanowisko wiedzy w kulturze spółczesnej. Nie teoretyzacja, nie eliminacja wszelkiej uczuciowości, podmiotowości, etc. jest jej ideałem, lecz, przeciwnie, analiza, klasyfikacja szeregu przeróżnych faktów całego życia duchowego ludzkości, całej mnogości objawów, z których każdy ma swą rację, swe uzasadnienia, swój cel — swoją wartość.

Ten „liberalizm" wiedzy społecznej jest nader znamienny, choć nie zawsze do pożądanych skutków prowadzi. I tak np, niejednokrotnie stara się on odwrócić zasadę ewolucyjną, uniezależnić świat wewnętrzny człowieka od warunków jego środowiska, wprowadzać pojęciowe traktowanie rzeczy zamiast rzeczowego, przez co tworzą się czyste zjawiska (fenomenologja) będące przedewszystkiem pojęciami, t. j. zwykłym wytworem psychicznym. Toruje się drogę nowej „ontologji," „metafizyce," operuje się „intuicją" jak metrem i t. p.

W ten sposób wiedza współczesna, — a głównie nauki filozoficzne mamy na myśli — mogą zostać zagrożone częściowo w swej czystości i stać się wreszcie encyklopedją jakąś. Inne odłamy wiedzy — nauki przyrodnicze, społeczne — w części tej są zabarwione tendencjami „irracjonalnemi" — im jednak nie grozi żadne niebezpieczeństwo, gdyż siła faktu opisanego i doświadczalnie potwierdzonego jest większa nad wszelkie tendencje podmiotowe.

Wiedza w ten sposób wzięła na siebie rolę, którą odgrywała niegdyś, za czasów Tomasza z Akwinu, religja. I jedna i druga chciały stworzyć absolutny światopogląd. Której z nich się to udało? Żeby porównywać, trzeba jeszcze zaczekać, albowiem wszelka uniwersalna tendencja wiedzy współczesnej za mało właściwie samo życie przenika. W sferze wykładów, pism, polemik, instytutów naukowych — lecz nie w fermentującej głębi życia. A ono dziś właśnie bardziej może niż kiedykolwiek jest dalekie i oporne względem nawoływań szlachetnych i głębokich myślicieli. Dziś szerzej, niż kiedykolwiek, wyżłobiona jest przepaść między światem wartości, tem co powinno być, bo jest prawe i dobre, a tem — co jest. Niesłychane postępy techniczne, militaryzm, bezlitosna komunikacja, kategoryczne odrzucanie wszelkiej rzeczy bez wartości obiegowej monety — czynią niemożliwem bodaj wszelkie porozumienia na serjo. I pod tym względem wiek XVIII, wiek doktrynerów, wiek ludzi jak Buffon, Volney — kiedy się żyło jak pisało, kiedy się szukało po świecie wcielenia pragnień i dłoni pomocy — imponować nam może, Rousseau elektryzował zarówno umysły jak serca, a Goethe we Włoszech pisał karty życia które było i pięknem i twórczości i myślą.

Ale, jak jeden ze znanych pisarzy naukowych naszych się wyraził, chwila obecna jest chwilą przełomową (Ochorowicz) miejmy więc nadzieję, że filozofja będzie kiedyś mistrzynią jeśli nie ogółu, to tych którzy wierzą w ideał Szyllerowski pięknego człowieka.

Szanownym przedpłatnikom przypominamy o uiszczeniu należności za kwartał drugi.

J. KURNATOWSKI.

Wymowa cyfr.

Analizując nasze nienormalne stosunki polityczno-społeczne, ciągle trafia się na rzeczy wyjątkowe, nigdzie nie spotykane i pozornie niczem nie dające się wytłomaczyć.

Spróbujmy zdać sobie sprawę, co znaczą wskazówki gęstości zaludnienia Królestwa i Galicji — z jednej strony, krajów sąsiedzkich z drugiej.

Królestwo ma 98 mieszkańców na kilometr kwadratowy, Galicja — aż 102. Wobec niewielkiego — stosunkowo do innych krajów o podobnej gęstości zaludnienia — procentu ludności miejskiej w Królestwie (30%) i całkiem znikomego w Galicji) (12%), — jest to zaludnienie szalone. Dowodzi ono niesłychanego przeludnienia wsi polskiej.

W sąsiedztwie — na Wschodzie — mamy ośm gubernji litewsko-ruskich (Wołyń, Podole, Mińska, Mohilewska, Witebska, Kowieńska, Wileńska i Grodzieńska), gdzie zaludnienie dochodzi zaledwie do 48 mieszkańców na kilm. kwadratowy. Na północy i zachodzie — mamy Prusy Wschodnie z 56 mieszk. na kilm. kw., Prusy Zachodnie z 67 m., i Ks. Poznańskie z 72 m.

Słowem Galicja i Królestwo tworzą plamy przeludnionych, okolic, otoczonych wieńcem rzadko zasiedlonych krajów.

Głównym czynnikiem wzrostu zaludnienia w Polsce jest — obok wzrostu handlu i przemysłu w miastach — wzrost drobnej własności chłopskiej. Wielki obszar dworski nie może stale wyżywić takiej samej liczby ludzi, jak ten sam obszar, rozparcelowany pomiędzy włościan. Wiadomo, że hodowla trzody i drobiu, oraz warzywnictwo i ogrodownictwo pozwalają nieomal atomizować się własności rolnej. Dochód z ziemi nie zmniejsza się proporcjonalnie do zmniejszania się ilości posiadanej ziemi. Wreszcie włościanin nasz w przeciwieństwie do francuskiego, naprzykład — nie obawia się mieć dzieci, których praca jest dlań źródłem zamożności.

To też, jak wiadomo, nasi wychodźcy sezonowi mają głównie na widoku zebranie pewnej sumy pieniędzy, którą przeznaczają na zakup ziemi. Suma, jaką mogą zebrać, jest oczywiście prawie zawsze niewystarczająca i liczą oni na kredyt jakiegoś banku parcelacyjnego. Lecz w Królestwie i Galicji cena ziemi doszła do takich rozmiarów, że nawet z pomocą banków szerokie masy włościańskie, rozporządzające drobnemi oszczędnościami, kupować jej nie mogą. A na Wschodzie i na Zachodzie wznoszą się mury wyjątkowych praw agrarnych, które uniemożliwiają kupno.

Na Wschodzie, na Litwie, Białej Rusi, Wołyniu, a nawet na Chełmszczyźnie Bank Włościański odmawia pożyczek włościanom Polakom, a włościanie „zagraniczni", t. j. galicyjscy zupełnie nie mogą kupować ziemi,

Na Północy i na Zachodzie, w Prusach i w Poznańskiem mamy komisję kolonizacyjną i wywłaszczenie na korzyść włościan niemieckich, zakaz budowania się na gruntach rozparcelowanych i szykanowanie prywatnych polskich banków parcelacyjnych — w celu zupełnego uniemożliwienia kupowania ziemi włościanom polskim. Włościanie „zagraniczni", t. j. z Królestwa i Galicji są — oczywiście — bezwzględnie wykluczeni.

Jeżeli do tego dodamy, że Poznańskie i Prusy „Królewskie" i „Książęce," oraz Galicja nie są zupełnie krajami przemysłowymi, a w Królestwie przemysł wskutek złych komunikacji i taryf różniczkowych rozwijać się nie może, — to nie zdziwi nas masowa emigracja ludu polskiego do krajów odległych, do Środkowych i Zachodnich Niemiec, do Danji, do Francji.

Wszystkie prześladowania bowiem na szczęście nie zdołały zniżyć stopy naszej rozrodczości, którą reprezentuje olbrzymia cyfra 14 na 1000. Belgja ma 13, najwyższą poza nami w Europie; Niemcy 10 i t. d. Cyfry te oznaczają roczny czysty przyrost ludności, to znaczy liczbę zgonów odjętą od liczby urodzin.

Niemożność znalezienia ziemi i pracy u siebie, łącznie z dużą rozrodczością — wyrzuca nasz lud zagranicę i to — zdaje się — coraz bardziej wyrzuca go na stałe, gdyż coraz znaczniejszy odsetek wychodźtwa sezonowego przekształca się w wychodźtwo osadnicze.

Lecz w miarę tego, jak wychodźtwo osadnicze staje się liczniejsze, obawa wynarodowienia maleje. Tworzą się stowarzyszenia, kluby, biblioteki; lud polski nie wsiąka, a przynajmniej nie tak łatwo wsiąka w obce otoczenie. Niemcy i Francuzi spostrzegają to, i niektórzy z nich zaczynają bić na trwogę. Münchener Neueste Nachrichten mówią o „slawizacji" Niemiec, o rozwleczeniu „polskiego niebezpieczeństwa" po całej przestrzeni Niemiec. Matin wzywa przeciwko „kohortom polskim" Kabylów algierskich, którzy w jego naiwnej identyfikacji państwa z narodem są . . . francuzami.

Odpowiedziałem (oczywiście po francusku w „Revue Politique Internationale)" tym pismom, że ich oburzenie na nic się nie zda, gdyż „slawizacja" Niemiec i Francji odbywać się będzie dopóty, dopóki polski chłop nie będzie mógł kupować ziemi w Polsce lub na jej pograniczach. Nie na „slawizację" Zachodu, ale na ucisk agrarny polskiego włościaństwa należy się oburzać.

L. BRUNN.

Judaizm przed sądem sumienia.

1.

„Gdyby Żydzi — pisałem w r. z. po sprawie Bejlisa — zamiast rozpętywać wrzawę, która ich samych pozbawia resztek równowagi... zdolni byli do krytycznej samooceny, toby przedewszystkim przy ponurym świetle sprawy kijowskiej zmierzyli okiem przepaść zacofania i zdziczenia, w jaką spycha ich i grąży nieludzki zakon Judaizmu, o którym powiedzieć można, że *rytualnię pastwi się* od paru tysięcy lat nad nieszczęsnym, napół oszalałym narodem".

Oczywiście, do tego Żydzi nie byli zdolni; zadanie podjął i wykonał ktoś inny...

I tak być musiało: Żydom bowiem żydowski Geniusz Rodzaju zakazał raz na zawsze jakichkolwiek samokrytycznych dochodzeń: w świadomości żydowskiej niema wcale objektywnej miary dobra i zła, postępu i zacofania, prawa i bezprawia, zbrodni i cnoty, prawdy i kłamstwa, nawet — piękna i brzydoty.

Jest jeno nastawione i sprawnie za lada pociśnięciem działające — poczucie *korzyści plemienej i plemiennej krzywdy*.

A gdzie niema poczucia słuszności, zaś powściągi moralne stosują się tylko do „swoich" — tam zaciężyć musiała na sumieniu zbiorowym zmora jakiejś gromadnej odpowiedzialności przed światem nieżydowskim, a w następstwie — wywiązała się skłonność do przemilczania i ukrywania wszelkich nieznacznych nawet faktów, mogących świadczyć o Żydach niepochlebnie.

„Sumienny badacz — pisałem — dotrze może do źródeł zła w gęstwi traktatów Miszny i Ghemary, jak śmiały podróżnik dociera do źródeł Nilu przez puszcze etjopskie".

W niespełna pół roku ziściła się ta przepowiednia.

U źródeł zła stanął Andrzej Niemojewski i dopiero w świetle jego badań zrozumieć można złowieszczy werset biblijny: *„Jeżeli wprowadzi ciebie Jahwe, Bóg twój, do ziemi, do której kroczysz, aby nią zawładnąć, a wypędzi od twego oblicza liczne narody... i wyda je tobie Jahwe, Bóg twój, że je porazisz, wtedy je przeklnij"*.

2.

Również po sprawie Bejlisa w jednym z najbardziej filosemickich organów prasy polskiej, a mianowicie w *Życiu Warszawskim* wyrażono dość kategoryczny pogląd, że dla rehabilitacji swej dobrej sławy powinni Żydzi zwołać wielki zjazd rabinów i hebraistów, któryby zbadał naukowo kwestje sporne, dotyczące starożytnych ksiąg i obyczajów żydowskich, co do których po sprawie kijowskiej pozostał pewien — osad wątpliwości.

Żydom niewsmak poszła ta propozycja; zalęknione *Życie Warszawskie* pośpieszyło puścić ją w niepamięć, ale to go nieuchroniło od rychłego zgonu.

Jak widać, wcale nie leży w interesie Żydów, świadomych rzeczy, wynoszenie na światło dzienne spraw, które zwykle spoczywają w cieniu.

Talmud i Szulchan-Aruch należą do rzędu literatury konspiracyjnej, która nie powinna dostać się w niepoświęcone i niepowołane ręce.

Dzięki Niemojewskiemu wiemy co sądzić o tych potwornych księgach, wiedzą *też* o tym wykształceni Żydzi, wiedzą filosemici polscy, dla których odkrycia te były nielada niespodzianką.

Aliści w całym tym obozie panuje dotąd grobowa cisza.

Wprawdzie różni panowie, powoływani do pracy w Encyklopedjach polskich, lubią systematycznie *przemilczać* sprawy drażliwe i niemiłe z żydowskiego punktu widzenia, lecz w tym wypadku system to zawodny.

Zdemaskowanie knowań talmudycznych jest nazbyt doniosłym czynem, a nadto wartość i znaczenie tych odkryć tak dalece wyrasta ponad poziom różnych antyżydowskich wycieczek i publikacji — że ani zwykłym wrzaskiem polemicznym zgłuszyć ich nie można, ani milczeniem zażegnać.

Czemu więc milczą baterje prasy żydowskiej, tak obficie zawsze zaopatrzone w pociski grubego kalibru i tak zawsze hałaśliwe? Skądże ta widoczna konsternacja? Czyżby zabrakło rezonu ludziom bogatszym w fortele od Zagłoby?

Mogło i tak się zdarzyć — wszystko możliwe na tym świecie — że ci, co dotąd naiwnie, ślepo i bezkrytycznie wierzyli, jak w dogmat, w legendę o żydowskim św. Graalu postępu, humanitaryzmu, kultury, zostali w tej wierze zachwiani, i że widok duszy żydowskiej, obnażonej z obsłon konwencjonalnych fałszów — wprawił ich samych w osłupienie.

3.

Więc może milczą dlatego, że pod wpływem jakby hypnozy mają wzrok przykuty do wywleczonej na jaw ohydy talmudycznej. Kto wie, jaka tam rozterka duchowa rozgrywa się wśród tych przynajmniej jednostek, co po raz pierwszy w życiu poczynają chwytać uchem głos rozbudzonego na dnie duszy sumienia!

Ogół jednak żydowski, ta „większość" w którą wcielił się żydowski geniusz rodzaju,

pozostanie w dalszym ciągu nieczuła, ślepa i głucha, traktując każde niemiłe sobie zjawisko jako niecny zakus antysemicki.

Ta „większość“ wyłącza zgóry wszelkie niekorzystne dla siebie postawienie kwestji żydowskiej, ta „większość“ bagatelizuje najpotworniejsze fakty swego bytu, wszelkie zaś wątpliwości i niepokoje zagłusza buńczucznym wrzaskiem i łajaniem tych, co poważyli się targnąć na majestat ludu wybranego. Żydowska bowiem „większość“ jest i dziś ta sama, jak za czasów Poncjusza Piłata: łotrów, byle prawowiernymi byli Żydami, wyrwie z rąk sprawiedliwości, ale każdego, kto jej rzuci gorzkie słowa prawdy — ukrzyżuje...

4.

Tym razem jednak i „większość“ znalazła się w srogim kłopocie: o Niemojewskim nic już więcej złego powiedzieć nie może, bo wyczerpano tam już dawno cały zapas obelg i złorzeczeń; co się zaś tyczy tekstów, przezeń przytoczonych, to sami Żydzi czują, że niedość wyłowić z nich jakąś mikroskopijną nieścisłość, wytknąć błąd literowy czy przekład wadliwy jednego słowa — że należałoby zbić po kolei *wszystkie* twierdzenia talmudyczne, dowieść, że są fałszywe, że nigdy nie istniały, że to nie z Talmudu i nie z Szulchan Aruchu czerpano te potworne przykazania, lecz ze złośliwych jakichś apokryfów, zmyślonych i podrobionych przez niecnego Hamana, dybiącego na zgubę niewinnych synów Judy.

Czują i to równie, że tu niedość wykręcić się twierdzeniem, że Talmud jest prostym protokułem rozpraw rabinicznych, a Szulchan Aruch niema znaczenia; trzebaby dowieść, że geniusz plemienny Żydów w inne przyoblekł się formy, że dusza żydowska nie z tych jedynych tradycyjnych wypływa źródeł, ale że bieże początek gdzieindziej — i wskazać, gdzie rmianowicie...

Może tu i owdzie wysili się jaki przysięgły orędownik żydostwa na sztuczny giest lekceważenia: nikogo tym nie zwiedzie! Chwila jest zaprawdę osobliwa: Niemojewski postawił nam przed oczy wizyjny obraz łupieżczego pochodu hordy sprzęgniętej pradawną zmową i wielbiącej, jak świętość, plemienny kodeks trudnego do wiary bezprawia i wyuzdania, kodeks iście zbójecki, który zaleca i szczegółowo uczy, jak łupić i wywłaszczać aryjskie otoczenie...

Otóż, by zatrzeć wrażenie tej wizji, musieliby Żydzi i Żydolubi przesłonić ją większym i głębszym obrazem, któryby nas przekonał, że pobyt Izraela w naszym kraju winien być przez ludność polską błogosławiony.

Takie stoi przed nimi zadanie wdzięczne, lecz niełatwe; zali podejmą je i wykonają?

5.

Dotychczas mieli Żydzi na widoku zewnętrzną stronę sprawy; nawet najlepsi z nich rozpatrywali problemat żydostwa w sposób *aprioryczny*, z gotowym przekonaniem o słuszności swej sprawy i sromocie tych, co ważyli się plugawymi dłońmi miotać na Żydów oszczerstwa.

I zazwyczaj cała robota „asymilacji“ sprowadzała się do tego, by Żydom za wszelką cenę wyrabiać dobrą markę wśród obcych.

Teraz nastręczy się w tej robocie trudność poważna. Pomijając już to, że legenda o cnotach żydowskich i niecnotach antysemickich została silnie nadwątlona, nie znajdując dla siebie dość łatwowiernych uszów — chcę wierzyć, że i obrońcy Żydów stracili dawny aplomb.

Stokroć straszniejszy od wszystkich Hamanów świata zagroził żydostwu wróg: *sumienie*. Przed nim, jak przed najwyższym sędzią, staje dziś w męce każda dusza żydowska, której Talmud nie zdążył zdeprawować doszczętnie.

Chcę wierzyć, że są tam zachowane jeszcze strzępy człowieczeństwa, że wielowiekowa tresura talmudyczna nie wytępiła, nie wygniotła w żydostwie ludzkiego sumienia, które czci prawdę bez względu na to, że jest ona dla Żydów niekorzystna.

Otóż, wszystko co w Izraelu mieści się dobrego — zostało teraz do muru przyparte. Odezwać się musi.

Kto się jeszcze ociągał z obrachunkiem rzetelnym ze swoim sumieniem, ten dłużej zwlekać nie może.

6.

W ten sposób sprawa żydowska wkracza w nową, już ostateczną fazę,

Poprzednio widziano w niej zagadnienie kultury, później — polityki społecznej, jeszcze później — zjawisko czysto gospodarcze; obecnie jest to już — *kwestja sumienia*...

Tu nie o to już chodzi, czy w Polsce mają dwa narody mieszkać, czy jeden, i nie o to, czy ludność żydowska powinna mieć przywilej handlu w całym kraju, lecz o to, czy godzi się tolerować, w imię zasad oderwanych, żywioł, sprawujący wśród nas funkcje wybitnie *występne* w myśl przykazań, zawartych w księgach, uznanych za święte, i wpajanych dzieciom w szkołach religijnych...

Prócz tego pytania natury ogólnej, które zadać sobie powinien każdy Polak, inne jeszcze pytanie zawisło nad każdym Żydem z osobna: czy wobec niezbitej już pewności, że Izrael bier-

nie lub czynnie podlega nakazom występnym, a nawet zbrodniczym, w każdym zaś razie niegodziwym i wstrętnym — jednostka *uczciwa* może poczuwać się do jakiejkolwiek wspolności uczuć lub interesów z plemieniem, które samo siebie wyłącza za nawias etyki i ludzkości?

Pytanie to, niby grom, uderza w uczciwego Żyda i świadomość jego rozszczepia na dwie połowy.

W jednej dźwiga się poniewierane od wieków sumienie, a w drugiej skowyczy śmiertelnie zraniona — żydowskość.

ST. BACZYŃSKI.

Uwodzicielstwo z musu i obłudy.

„Czego mi pierwej na drogę nie dano,
Mnie stulaurowych ojców mdłej dziecinie."

Norwid.

I.

Czyn wyrażany w formie uzewnętrznionego wysiłku, który zmierza do realizacji wyobrażenia rzeczy doskonałej, i czyn w znaczeniu spełniania etycznego postulatu, kroczą mniej więcej drogą zbliżoną. Niezawodną miarą takiego czynu jest jego długotrwała wartość, pochodząca z wydobytych przezeń pierwiastków zasadniczych w życiu, a przez to nieomal wiecznych, za pośrednictwem piętna skończoności ideału, którego jest cząstkowym urzeczywistnieniem.

Artysta przelewa w materjał stały stopień swego udoskonalenia, stanowiącego o wzmaganiu się twórczej woli, działacz społeczny czyni to samo w odniesieniu do płynnej, lotnej i nieuchwytnej apriorycznej linji rozwoju jednostki i społeczeństwa, poza historyczną formą. Różnica kryje się jedynie w motywach postępowania. Czyn artysty zasadza się na umiejętnym obraniu *kierunku*, ponieważ ten decyduje o jego wartości duchowej, jako twórcy. W drugim zaś wypadku przeważa nie wytyczna linja ideału, lecz żądza celu, tendencyjna walka o dusze innych, na trupie indywidualności własnej.

Artysta stwarza etapy rozwoju swej duszy, na których zatknięte widnieją znaki — dzieła, nie wyłączając błędów i niedoskonałości, świadczących o kierunkowym postępie, czy cofaniu się wysiłków zdobywczych.

Nie dzieło więc, jako takie, ułomek wyobrażenia o pięknie czy prawdzie jest materjałem krytycznym, lecz *kierunek*, w którego pochodzie staje się ono przystankiem twórczym. Dzieło jest sprawdzianem prężności twórczej, zewnętrznym znakiem duszy, dążącej do urzeczywistnienia ideału. Dlatego nie odmówimy miana artystów ludziom, którzy krocząc wśród częstych błędów i zboczeń okazują siłę kierunku, jego namacalne istnienie i bijącą rzeczywistość natężonej woli. Kierunek bowiem stanowi o możliwościach człowieka, a droga ku doskonałej pełni zasiana jest błędami, rzeczami niedoskonałymi.

Obecność kierunku daje miarę napięcia energji, świadczącej o żywotności i dalszym rozwoju danego twórcy, jest sygnaturą jego wewnętrznego życia ideowego. W przeciwnym razie powstają pozorne, zmanierowane kombinacje techniczne, bezwartościowe przez sam fakt nieodpowiedniości. Staje się rzecz *niepotrzebna*.

Kierunek objawia się w formie i treści zagadnień kulturalnych. W formie, jako wyraz *usiłowań realizacji wyobrażenia* o powinnej skończoności zmysłowej, w treści zaś oddaniem niedociągniętych, a możliwych wzruszeń poetyckich, nastrojów i rozmyślania, nie wyłączając czysto intellektualnych zainteresowań.

Przypadkowość kierunku, jego utożsamienie z ogólnym prądem czyli przelotność nazywamy *tendencją*, przez co rozumie się aktualne zestrojenie z mijającymi wpływami z zewnątrz. Rzecz oczywista, że w znaczeniu powszechnie używanym wszelka praca musi być celowa, a przez to i „tendencyjna", lecz kierunek pracy odróżnia się od jej tendencyjności właściwością wgłębiania się w siebie, to zn. pogłębia się własną rozległość i równoległe napięcie woli, podczas gdy tendencja wybucha i wyczerpuje się jednorazowo, a chcąc swój byt przedłużyć, poszukuje podpory w formie haseł i ich metafizycznego uzasadnienia, przenosi swe istnienie na gotowe oddawna idee czy ideały i chwilową przewagą, okrada duszę ludzką z kierunkowego napięcia, poniżając tym swe znaczenie aktualne.

Kierunek łączy wysiłek z ideałem, z jedyną osią twórczości, podczas gdy tendencja stoi nizko u jego podstaw i z uszczkniętych na jego drodze gałązek wydobywa przejściowy pozór ideału, cząstkowy skazany na mijanie twór. Posiadając w zmniejszeniu wszystkie prawie cechy kierunku, łudzi i porywa, lecz wyłącznie w granicach demagogicznej zmienności. Uwidocznia się to szczególnie w sztuce, gdzie ów kierunkowy pęd, zdobywcze napięcie woli wymierzone w stronę ideału, postulatu indywidualności twórcy — rodzi długotrwałe wartości.

Literatura piękna najłatwiej ulega wahaniom między tendencją a kierunkiem. Pierwsza narzuca się nieoględną bezpośredniością polemicznej zaciekłości, drugi milknie zmiażdżony gwałtem aktualnych nastrojów, zza których przelotnie miga dusza artysty. To też istotną wartość dzieł, ich przypuszczalną odporność na czas mierzyćby można stopniem tego wahania, różnicą z tendencji i kierunku.

Do właściwości tendencji zaliczyć wypada *złudzenie objektywizmu*, przejawiające się pozornym oddaniem sprawiedliwości i równomiernym traktowaniem zjawisk życiowych, w którym kryje się przyczyna perfidnego kłamstwa literatury. Społeczeństwo żyje tendencją, stanowi ona motor jego opinji, lecz pisarz — artysta musi odtrącić jej uwodzicielskie zaloty, by dać czyn własnego wnętrza, wskazówkę orjentacyjną rozwoju kulturalnego. Wskazówka ta nie może być palcem wyciągniętym, w stronę... masowej suggestji, lecz pierwiastkiem o zabarwieniu czysto

inywidualnym, odkrywającym wnętrze jednostki i jego pozytywną wartość. Tendencja walczy negacją lub apodyktycznym, obłudnie przeprowadzonym dowodzeniem, nie zdoła przeto sprostać czynowi artysty i myśliciela, który posiada piętno kierunkowo zaznaczonej, istotnej potrzeby ducha.

Poza tym cechą walczącej tendencji jest jej nawrót ku tradycji.

Tradycja przysługuje jej w formie autorytetu, niezwalczonego dowodu i uzasadniania racji. Socjaliści chcąc przekonać lud o prawdzie swych ideologji, powołują się na Chrystusa, Marksa, historję swego ruchu i t. d., wyprowadzając stąd wniosek o niezbitej konieczności istnienia wysławianych dzisiaj haseł. Jehanne Walewska wyciska łzy wspomnieniem 63 roku, usiłując przekonać wszystkich o pokrewieństwie dusz współczesnych z tradycją lat minionych, to samo Żeromski, Strug, Daniłowski i in.

Dla tendencji w literaturze upadek Polski stał się niewyczerpaną kopalnią, a przeszłość historyczna kagańcem na argumenty contra, gwiazdą przewodnią tych pro.

Kult własnego cierpienia i apoteoza przeszłości nawarstwiona od przeszło stu lat w duszy Polaka, wyniosła ponad literaturę naszą schorowany gmach złudzeń nawykowej tężyzny, patryjotycznego optymizmu i narodowej wszechtendencji. Czynniki pracy realnej, czyn de facto, nie wygębowany, nie poparty tradycją dziejów i literatury, lecz ideowy kierunek w rozwoju kulturalnym, zapada się zryty przez krety pseudo-postępu i pseudo-artyzmu. Doszło do tego, że zdolni jesteśmy uwielbiać pisarzy bez talentu, o ile dadzą efektowny pod względem patryotycznym, narodowo-tendencyjny wybryk fantazji.

Po katastrofach, które zrujnowały samodzielność Polski, wyrodził się okres marzeń, żalów, urągań zdrajcom i narodowi, popierany przez ludzi godzących powstanie miłości ojczyzny wraz z jej utratą. Gdy bujna teraźniejszość stała się daleką i odsuniętą w perspektywę historji, kierunek zbiorowej pracy, poezja utraconego raju wyrębuje ścieżki literaturze buntu ducha, oburzeniu szlachetnych sięgającemu nieraz jowiszowego stolca, by zatrząść potęgą słowa sercami bogów i ludzi, wywołać piorun. To znów dobywa jęku z lutni krwią obrzmiałej, rzutuje pojęcie Polski w metafizyczny mrok i nadaje jej cechy mistycznego podjum dla ascezy, posuwa paralelę męki do zrównania ojczyzny z ukrzyżowanym bóstwem.

Wszystkie te kierunki życiowe, poetyckie, miały przed laty swe niecofnione walory, porozumienie ich z rzeczywistością było jawne, nie wymagające komentarzy, lecz przeżyły się wraz z przeboleniem cierpień, w miarę oddalania się od bezpośredniości. I daremnym byłby trud wznoszenia ich na nowo, w chwili, gdy czas stwarzać pozytywny czyn, gdy budzić się poczyna dopiero ruch myśli i rozumu polskiego. Tamte rzeczy były piękne przez swą konieczność, dzisiejsze naśladownictwa mesjanistycznych posłańców ośmieszają i degradują literaturę naszą do rzędu niezdolnych pod względem rozwoju.

Trójca romantyczna ukształtowała tradycję lat, niedawnych zresztą, odpowiedzialną przed historją za każde słowo i gest myśli. Na tym też polega jej wielkość i urok. Tradycja ta jednak sięgać winna do granic historji, poza nią istnieje perspektywa nowych czynów, odpowiadających nowym kierunkom kulturalnym, wypracowanie nieistniejących dotychczas pozytywnych wartości, ich — potrzeby.

Literatura współczesna, przejąwszy się ideologją dawności, wyparła tę projekcję ideową, wywarła zamęt i bezkrólewie kierunku, dając natomiast silną pożywkę tendencji, w rodzaju przypadkowych argumentów i metody. Poprzez hasło organicznej pracy wkradła się do chwil obecnych dorywczość pragnień, ideałów i jako wyodrębniona od dawnej treści, wydać musiała błąd, którego nieporozumieniem zwać nie można, ponieważ powstaje albo świadomie i obłudnie, albo z nawyku do z góry przewidzianych nastrojów i efektów.

JAN LEMAŃSKI.

Gnoti Seauton.

(Pour atteindre á la verité, il faut une fois dans sa vie se defaire de toutes les opinions que l'on a reçues et reconstruire de nouveau, et de ses fondement, tous les systémes de ses connaissances).

Descartes. «*Discours sur la méthode*».

Ażeby dojść prawdy, trzeba raz w życiu pozbyć się wszystkich mniemań, któreśmy otrzymali, i odbudować na nowo i z gruntu, cały naszej wiedzy systemat.

Wawrzyniec Stern [1]) w swojej «Podróży uczuciowej» (*A sentimental journey*) opowiada, że gdy w Paryżu kupował perukę i zapytał perukarza, czy aby jej pukle będą się sztywno trzymały, perukarz rzekł:

— *Vous pourriez la tremper dans la mer, elle tiendrait.*

(Zmaczaj ją pan nawet w morzu a będzie się trzymała).

Przytoczywszy to, autor dodaje taki komentarz ironiczny. «Jakże wszystko na wielką miarę w tym mieście! Kiedy perukarz angielski powiedziałby najwyżej: umocz ją w cebrze wody — cóż za różnica! Jedno, co zarzucić górnemu Francuzowi można, jest to, iż tu wielkość bardziej w *słowie* niż w *rzeczy*. Powiedzmy prawdę, iż francuski sposób mówienia więcej wyraża niż dokonać może. (*The french expression professes more than it performs*»).

[1]) 1713 — 1768.

Z tego przytoczenia widać, że Anglik w przeciwstawieniu do Francuza lubi realność i ścisłość wyrażeń; Francuz goni za przesadą i jego zwroty często są fikcyjne. Anglik, pan mórz, powiedziałby, że dość zanurzyć perukę w wiadro; Francuz, choć z Paryża do morza daleko, chce zaraz perukę maczać w morzu. Anglik to pełen humoru (widać z morskich fal idącego)—uczuciowiec; Francuz to suchy, zimny, lądowy retor. Wymowa, deklamacja, frazes, *bon mot* — wogóle dziedzina słowa — to żywioł francuski. Można milczeć po angielsku, po niemiecku — w każdym innym języku można milczeć, tylko nie po francusku. Francuz musi mówić, aby czuć, że żyje. Wprawdzie Francuz Descartes powiedział: *cogito ergo sum*, myślę więc jestem, ale *powiedział* to jednak (nie przemilczał) i powiedział nie po francusku, tylko po łacinie. Po francusku winienby był powiedzieć tak: *je parle, donc je pense; je pense, donc je suis*. Francuz, gdyby się na bezludnej wyspie znalazł, z rozpaczy, że niema do kogo mówić, żyć by nie chciał i niezawodnie, wbrew kartezjanicznemu pojmowaniu życia, zawołałby: *je me noie, donc je suis!* Co wyrzekłszy, pewnieby się rzucił napowrót w morze i utopił.

Historja francuska to ogród, w którym wśród warzywa krwią podlewanego kwitną kwiaty różnych *bon mot*'ów: *«Mettre chaque dimanche la poule au pot»* . . . *«Un royaume pour un cheval!»* . . . *«Écrasez l'infâme!»* . . . *«Allons enfants de la patrie!»* . . . *«Liberté, fraternité, égalité!* . . . *«Soldats, quarante siecles vous regardent!* . . .» *«La vieille garde meurt et ne se rend pas!»* . . . *«M* . . . . !»

Tak jak z Kuby pieprz, tak jak z Hawanny cygara — z Francji otrzymuje Europa z artykułami modnemi frazes francuski, w którym jest tak jak w tamtych rzeczach pieprzność i dym. Zwłaszcza na kobiety, lubiące dużo mówić, Francja wymowna i deklamatorska działa czarująco. Badatliwy Cyrano de Bergerac, samochwalczy Tartarin du Tarascon i pełen hypokryzji i słówek miodowych Tartuffe — to najpopularniejsze typy francuskie. Francuski język to wyrób galanteryjny, używany jak dekoracja — dla oka, Dawniej w pojedynku rycerz francuski, zanurzając w przeciwniku swoim szpadę, przepraszał go za przykrość spowodowaną tym uczynkiem. I dziś Francuz ten sam: oschły, próżny, ale grzeczny. Grzeczność ta nie obowiązuje głębiej: jest to komunał, liczman zdawkowy. Jeżeli rozpłomienia się Anglik, to można o nim powiedzieć: ukrop. Francuz rozpłomieniony to — lawa.

Jest w języku francuskim wyraz *franc*. Wyraz ten, jak wiadomo, oznacza przymiotnik: «swobodny». Francuz to człowiek swobodny. Tem się Francuzi, że walczyli za swobodę, chełpię. Ale *franc* jednocześnie znaczy jednostkę monetarną — franka. Francuska więc swoboda nie daje się pomyśleć bez franka. Pieniądz i swoboda to we Francji dwa synonimy. Miej franka, będziesz we Francji swobodny; nie masz go — jesteś niczem. Dla tego Francja jest rajem kapitalistów. Tylko właściwie oni są, kapitaliści, posiadacze franków, tam swobodni. W swobodnej Francji władzę teraz jedynie uznawaną stanowi ideał swobody, monarcha, imperator, bóstwo — FRANK. On, ten najmiłościwiej dziś nam panujący Frank mógłby właściwie, o sobie, jak Ludwik XIV powiedzieć: *La France c'est — moi le Franc!* Ludzki przedstawiciel Francji jest tylko widomym wyrazicielem życzeń bożka, któremu na imię Frank.

Grek Archimedes powiedział niegdyś: daj mi punkt oparcia, a ziemię z posad ruszę. Francuz mógłby to powiedzenie strawestować tak: *donne moi de francs et je serai franc!*

Drzazgi.

Jesteśmy krajem tak dalece katolickim, że najwybitniejsi poeci nasi w poście wiersze smażą na oleju (rycinowym).

***

Skry.

Cezarowie rzymscy usiłowali upodobnić się do bogów: stanęli na ołtarzu, otoczyli się kadzidłem, przybrali miano nieśmiertelnych i . . . cóż? W wyniku usiłowań bogowie upodobnili się bardzo do . . . cezarów.

List do Redakcji.

W N-rze 10 «Prawdy» z d. 7 b. m. znajduje się wiadomość, że «Biuro Bankowe Gazety Losowań» rzuciło na giełdę kilkaset w jego posiadaniu będących akcji Towarzystwa (Ł. I. Borkowski) celem zaszkodzenia tej firmie przy trzeciej emisji akcji.

Biuro Bankowe Gazety Losowań uznaje wobec tego za konieczne zaznaczyć, że od wielu miesięcy *ani pośrednio ani bezpośrednio nie dokonało ani jednej tranzakcji akcjami Towarzystwa Ł. I. Borkowski* i zatem przeciwna informacja «Prawdy» nie jest zgodna z rzeczywistością.

Z szacunkiem

Biuro Bankowe Gazety Losowań.

Ze swej strony czujemy się w obowiązku zaznaczyć, że «informacji przeciwnej» dostarczył nam bezpośrednio zarząd Tow. Akc. Ł. I. Borkowski.

Redakcja.

Książki nadesłane do Redakcji.

Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego. Rok 1913 W opracowaniu Biura Pracy Społecznej pod kierunkiem Władysława Grabskiego. Warszawa, Skład główny u Gebethnera i Wolffa. 1914.

Jadwiga Lipińska: «Kwiaty Maku». Wydawnictwo Ultima Thule. Skład główny: Księg. I. Rzepeckiego w Warszawie.

Bernard Kallerman: «Głupiec». Powieśc. Przekład z upoważnienia autora Melanji Łaganowskiej. Str. 466. Warszawa 1914. F. Hoesick.

Jan St. Mar: «Pajęczyna». Powieść. Str. 202. Warszawa 1914. F. Hoesick.

G. K. Chesterton: «Delegat Anarchistów». Powieść. Str. 280. Warszawa 1914 F. Hoesik.

Herman Bang: Powieść. Tłomaczyła Br. Neufeldówna. Str. 375. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Składy główne: E. Wende i Sp. w Warszawie, Ludwik Fiszer w Łodzi.

Emma Jeleńska: «Trzy pokolenia». Powieść. Str. 278. Warszawa 1914. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszswa, Lublin, Łódź.

Gabryela Zapolska: «O czem się nawet myśleć nie chce». Powieść. Str. 394. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1914 Lublin, Kraków, New-York.

A. Paliński: «Chopin.» Nakład księgarni Leona Idzikowskiego 1914 Warszawa, — Kijów. Str. 112 (in 16 o).

Jan Łada: «Mag.» Powieść z ostatnich lat panowania Zygmunta III Tom I i II Str. 714. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego Kijów — Warszawa, 1914.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

OTYŁOŚĆ I JEJ LECZENIE

Cechą charakterystyczną otyłości stanowi nadmierne nagromadzenie się w tkankach tłuszczu, który utrudnia działalność narządów, i stanowi źródło ustawicznych udręczeń w życiu codziennym chorego i staje się powodem ciągłego niepokoju o zdrowie.

Spostrzeżenie przekonywa, że kobiety częściej podlegają otyłości, aniżeli mężczyźni, a to dzięki większej skłonności płci pięknej do tego cierpienia z powodu pewnych właściwości ustroju kobiecego.

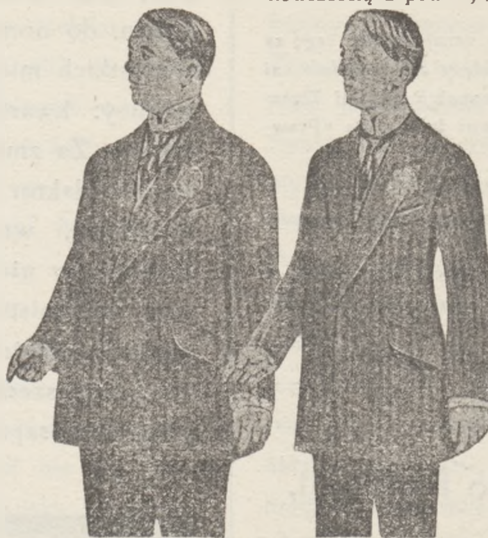
Z drugiej zaś s rony, otyłość nie stanowi rzadkości i wśród dzieci, u których to cierpienie dochodzi niekiedy do znacznego stopnia rozwoju.

Leczenie otyłości dało dowód doświadczeniu do stworzenia całej masy bezzasadnych i wprost naiwnych przepisów postępowania, które stały się bogatą kopalnią, skąd szczodrą ręką czerpała szarlatanerja wszelkiego rodzaju. To też przy wyborze środków w omawianym wypadku należy być wielce ostrożnym.

Niezmiernie ważną jest rzeczą aby leczenie otyłości było stosowane stopniowo i w sposób łagodny: strata 5 do 7 funtów na miesiąc, trwająca stale w ciągu określonego czasu w większości wypadków powinna być uważana za wystarczający wynik kuracji. Taki umiarkowany ubytek wagi jest zwykle znacznie trwalszy, aniżeli gwałtowny jej spadek. Dlatego też po kilkodniowym leczeniu należy przerwać kurację na 12 dni i dopiero po tej przerwie rozpocząć ją na nowo.

Z pośród wielu środków, stosowanych przeciwko otyłości, najgodniejszym polecenia jest jeden, działający pewnie i zupełnie nieszkodliwy dla ustroju, który będąc stosowanym przez lekarzy od 6 lat, dał im sposobność przekonania się o jego skuteczności: „JODYRINA" (IODHYRINE) odkryta przez D-ra Deschamp'a znanego lekarza francuskiego, jest właśnie tym lekiem, na który zwracamy uwagę.

JODYRINA wzmaga wydzielanie się żółci i przyspiesza przemianę materji i istotnie odmładza ustrój, przywracając chorym utraconą energję i żywość ruchów, stanowiący rażący kontrast z poprzednią chorobliwą ociężałością i ospałością. Chorzy czują się silniejszymi, posiadają więcej energji i stają się zdolniejszymi do większych i dłuższych wysiłków; chód ich przestaje być ociężałym, mniej się pocą, wyzbywają się senności, trawią lepiej, dzięki czemu sen ich nie pozostawia nic do życzenia.



Skutek 3 miesięcznej kuracji Jodyriną D-ra Deschamp'a.

Opierając się na sześcioletnim doświadczeniu najwybitniejszych lekarzy całego świata, możemy z całą stanowczością zapewnić, iż stosowanie Jodyriny przeciw otyłości stanowi jedyny i zupełnie racjonalny środek leczenia tego cierpienia, sposób który nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla ustroju, a który został zbadany dokładnie i oparty na wiedzy czysto naukowej.

Tysiące zaświadczeń, ustawicznie nadsyłanych na ręce D-ra Deschamp'a stanowi prawdziwie „złotą księgę" Jodyriny. Powyższe zaświadczenia mają tym większą wagę, że są nadsyłane z własnej inicjatywy chorych co też zniewala D-ra Deschamp'a do zachowania dyskrecji i do nieogłaszania ich bez bezpośredniej zgody osoby zainteresowanej.

JODYRINA D-ra Deschamp'a nietylko jest lekiem swoistym przeciwko otyłości, ale, będąc stosowana zapobiega temu cierpieniu u osób, dotkniętych artretyzmem, dną (podagrą, gośćcem, reumatyzmem), małokrwistością u kobiet, zbliżających się wiekiem do okresu przekwitania i t. p. słowem u wszystkich, którym w krótkim czasie grozi otyłość. We wszystkich tych przypadkach nie należy zwlekać z rozpoczęciem kuracji, gdyż każde opóźnienie często pociąga za sobą niepożądane skutki, nierzadko jest połączone nawet z niebezpieczeństwem dla samego ustroju.

EMIL GAUTIER

Sprawozdawca naukowy czasopisma paryskiego „Le Journal".

JODYRINA D-ra Deschamp'a znajduje się w sprzedaży we wszystkich aptekach, składach aptecznych po cenie Rb. 4.25 za pudełko zawierające 60 pastylek w opłatkach.

Przy pudełku dołączony jest szczegółowy opis ze sposobem użycia w języku polskim. Reprezentacja Główna na Rosję i Królestwo Polskie: Dom Handlowy Luxemburg i S-ka, Żórawia 40, w Warszawie.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.